NUMER 10. DNIA 8-go MARCA 1903 ROKU ROK XI

TYDZIEŃ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

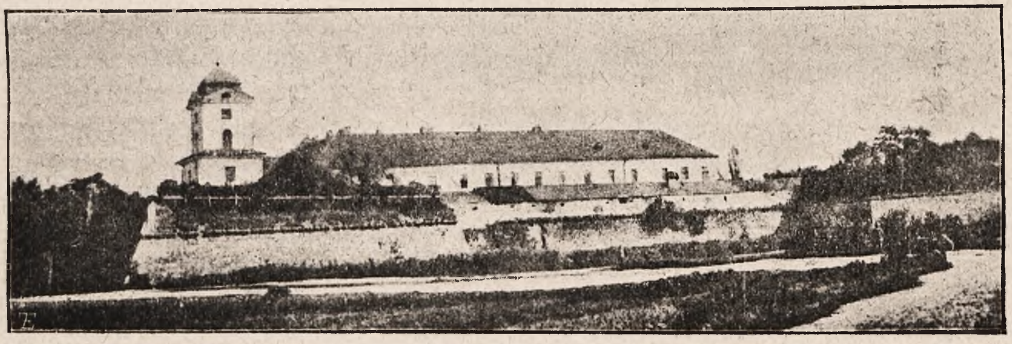
RZESZÓW

Z LITERATURY O RZESZOWIE: *A. BIELOWSKI:* „RZESZÓW I JEGO OKOLICE“. „ZABYTKI RZESZOWSKIE“. SPRAWOZD. DO HIST. SZTUKI. TOM V.

Gniazdo możnego ongi rodu Rzeszowskich, a później siedziba Lubomirskich, nie miał Rzeszów nigdy szczęścia do historyków. Podczas bowiem gdy inne nasze miasta większe mają mniej lub więcej wyczerpujące swoje monografje, to przeszłość Rzeszowa czeka ciągle jeszcze dokładnego i wszechstronnego opracowania.

A przeszłość ta długie stulecia na barkach swych dźwiga; wieki nie tak może krwawe, jak miast, co w paszczy leżały tatarskiej, ale zawsze lata życia, rozwoju, upadku i wreszcie odrodzenia.

Jak tyle innych miast polskich, wzniósł się Rzeszów myślą i potęgą Kazimierza Wielkiego, a nagrodą był zasług wojennych Stanisława ze Stróżysk. W roku bowiem 1362 nadaje ów prawdziwy rodziciel miast naszych wielkie obszary rycerzowi Stanisławowi, w pośrodku zaś leżącą osadę obdarza wolnościami prawa magdeburskiego. Osadnicy z dalekiego zachodu kładą jej fundamenta życia miejskiego i mieszczańskiej pracy. Ów zaś Stanisław pisał się już odtąd zapewne Stanisławem z Rzeszowa i stał się protoplastą wielkiego rodu Rzeszowskich, z którego też pochodził sławny za czasów Władysława Jagiełły arcybiskup lwowski Jan Rzeszowski, co po trudach i pracy pasterskiej w r. 1436 życia w rodzinnem swojem mieście dokonał.



Zamek Lubomirskich.

Przez cały wiek piętnasty żył Rzeszów spokojnie, rozwijał się i mnożył w cechy, rękodzieła.

Samo położenie na głównym trakcie z Krakowa do Lwowa i dalej na Wschód dawało mu wiele korzyści, które jeszcze królowie polscy powiększali licznymi przywilejami jarmarcznymi i nadaniami. Dopiero w samych początkach wieku szesnastego dwie katastrofy wojenne zburzyły dobrobyt Rzeszowa. Napad Wołochów i Tatarów zniósł miasto prawie doszczętnie tak, że je królowie Aleksander i Zygmunt I. na długie lata uwolnić musieli od opłacania podatków. Jędrny jednak i zdrowy organizm miejski przetrwał tę klęskę, a przemysł mieszkańców wynagrodził straty. Pod względem jarmarków bowiem stał Rzeszów na równi ze sławnym wówczas Jarosławiem, handel rybami i winem kwitł tu przez długie lata, a po spławnym właśnie od Rzeszowa Wisłoku szła droga handlowa aż do samego Gdańska. Sejm z r. 1589 zarządził regulację tej rzeki, po której pływały szkuty, półszkutki, lichtany większe i mniejsze, wańczosy i inne statki, w samem zaś mieście wyrabiano znakomite sukna.



Ratusz w Rzeszowie.

Samo to miasto było ludne i dobrze zabudowane, a przytem obronne, bo opasywał je dokoła wał i parkan z basztami. Miało bram trzy, murowaną, dębową i zamkową, a baszt sześć. Każda baszta pozostawała pod opieką osobnego cechu rzemieślniczego, który obowiązany był utrzymywać na niej hakownice, śmigownice, prochu trzy kamienie, trzy kopy kul, hupkę suchą i knoty, toż kupy kamieni i czeladź z rusznicami.

Obrona ta jednak nie była wystarczająca w czasach ogólnych klęsk i wojen. To też za Jana Kazimierza w r. 1656 zdobyli Rzeszów Szwedzi i złupili go doszczętnie, tak samo też później docierały aż tu oddziały tureckie, od których miasto srodze ucierpiało. Czego zaś nie zniszczył nieprzyjaciel, tego dopełniał pożar, który kilkakrotnie miasto w perzynę obracał. Król Jan Sobieski, chcąc przecież podnieść miasto, nadał mu przwileje nowe i dawne zatwierdził, ale nie zdołało to już ożywić grodu, który tak samo jak wogóle wszystkie miasta polskie, chylić się począł gwałtownie ku upadkowi.

W owych czasach należał Rzeszów do książąt Lubomirskich, właścicieli sąsiedniego Łańcuta, z których Jerzy, ożeniwszy się w r. 1660 z Konstancją, córką Mikołaja Ligęzy, Rzeszów w posagu po niej otrzymał. Lubomirscy wystawili tam wspaniały zamek, zachowany wcale dobrze aż po dzień dzisiejszy, a mieszczący obecnie biura sądu karnego, oni też byli fundatorami tutejszych kościołów Bernardynów i Reformatów. W szczególności zaś Konstancja Lubomirska wystawiła w r. 1665 dom i kościół Pijarom, których kollegium naukowe zasłynęło później wielu uczonymi mężami. Wystarczy powiedzieć, że przebywał tu czas jakiś sam Stanisław Konarski a uczony pijar rzeszowski Bielecki pomagał Liesganigowi w pierwszym pomiarze Galicji i ułożeniu dokładnej mapy tego kraju. Z innych budynków rzeszowskich zasługuje na uwagę fara, względnie kollegiata, ze starożytną, a oryginalnej struktury wieżą i chluba Rzeszowa — ratusz w stylu gdańskim, odnowiony w najnowszych czasach i zrestaurowany przez p. Szkowrona.

Dokładny i szczegółowy opis wszystkich zabytków przeszłości Rzeszowa znajdzie czytelnik we wspomnianym już wyżej piątym tomie Sprawozdań do historji sztuki.

Dzieje Rzeszowa w ostatnich latach przed

rozbiorem Polski smutne były bardzo, gdyż miasto, tylu klęskami wyniszczone, znajdowało się w stanie największego upadku. Rzemiosła i handel znalazły się w zupełnym zastoju, a jedynie tylko żydzi, zajmujący się złotnictwem, rozszerzali sławę jego wyrobów daleko poza granice kraju. Byli oni bowiem znakomitymi złotnikami i pieczętarzami a towary swoje wywozili do Wiednia, Sztokholmu, Berlina i Petersburga. Jeszcze z początkiem ubiegłego stulecia był jeden żyd rzeszowski nadwornym królewskim pieczętarzem w Kopenhadze, drugi w Sztokholmie, dwaj zaś inni dostarczali kamieni rzadszych i droższych dworowi carskiemu w Petersburgu. Sława jednak ich solidności kupieckiej i rzetelności nie zdołała się długo utrzymać wobec tego, że zalewali targi coraz podlejszymi wyrobami i z coraz gorszego materjału. Utrwaliła się nawet w języku handlowym nazwa „złoto rzeszowskie“ na oznaczenie tandety i złego materjału.

Dziś Rzeszów należy do większych miast galicyjskich a wchłonąwszy w siebie okoliczne podmiejskie wioski, marzy o ideale „wielkiego Rzeszowa“. Dowód to siły rozwojowej u mieszczan rzeszowskich, którzy ponadto oznaczają się wielkim patrjotyzmem i czcią dla wielkich mężów narodu, czego dowodem pomniki Kościuszki i Mickiewicza, jak nie mniej wspaniały gmach „Sokoła“, prawdziwa twierdza narodowego ducha.



Sokół w Rzeszowie.

SZTUKA DLA DZIECKA

(Z POWODU WYSTAWY W MUZEUM PRZEMYSŁOWEM).

„Sztukę dla dziecka“ — stworzył dopiero wiek XIX. a właściwie druga jego połowa. Jest to wogóle jednem z charakterystycznych a pięknych znamion ubiegłego stulecia, że ono pierwsze skierowało swoją uwagę na dziecko, jako na istotę zupełnie odrębną, mającą swój własny świat i swoje własne potrzeby. Ten nowy prąd pedagogiczny zeszedł się w swoim czasie w Anglji z nowym prądem estetycznym, którego głową, jak wiadomo, był Ruskin, a który za zadanie postawił sobie wprowadzenie sztuki do życia codziennego człowieka nawet najmniej zamożnego. Stąd też w Anglji najpierw padło hasło: „sztuka dla dziecka“ i tam to najwcześniej i najbujniej rozwinął się z hasłem tem związany ruch pedagogiczno-artystyczny na polu, na którem kraj ten po dziś dzień wszystkim innym przoduje.

Naturalnie środki, jakimi rozporządzać musi „sztuka dla dziecka“ odrębne być muszą i ściśle celowe. Stoi tutaj otworem dla działalności artysty cały szereg pól wdzięcznych, z których najważniejsze są: książka obrazkowa i obraz ścienny. Podobnie, jak w literaturze tak i w sztuce „dziecięcej“ pierwszym zasadniczym warunkiem jest tutaj dla artysty — umiłowanie i wniknięcie zupełne w duszę dziecka. Rzeczy te znane i uznane na Zachodzie i w Skandynawji, u nas są jeszcze nowością, to też zasługę kulturalną położyło M u z e u m p r z e m y s ł o w e m i e j s k i e otwierając swoje sale dla okrężnej wystawy „Sztuki dla

dziecka“, urządzonej przez Związek austryackich muzeów artystyczno-przemysłowych, wystawy wysoce pouczającej dla artystów naszych, jak zarówno dla matek i pedagogów. Wystawa ta, dość starannie zebrana, mieści w sobie największą ilość okazów pochodzenia niemieckiego a zamało stanowczo angielskich, niemniej atoli daje wcale dobry obraz zagranicznej na tem polu twórczości, obok której... my postawić możemy zaledwie jedną książkę, stojącą na wysokości najlepszych wydawnictw cudzoziemskich — świeżo wydane Bajki Kasprowicza z ilustracjami Dębickiego.

Brak tu miejsca na omawianie i ocenianie poszczególnych okazów. Możemy tylko zachęcić gorąco każdego interesowanego do osobistego obejrzenia wystawionych obrazów i książek, z których zwłaszcza angielskie (Kate Greenway, Caldecott) czarują wdziękiem swym i naiwnością oraz pogodnym humorem. Ciekawe artystycznie i wartościowe, choć mniej celowi swemu odpowiadające, są ilustracje słynnego Waltera Crane. W dziale francuskim figuruje omawiany już w „Tygodniu“ z okazji wystawy litograficznej, Riviére i karykaturzysta Caran A'che. Ilustracja książek dla dzieci we Francji znacznie później rozwinęła, się aniżeli w Anglji i dziś już stoi prawie na równej z angielską wysokości, choć na ogół więcej w niej wyrafinowania a mniej prostoty. Holandję reprezentuje: Hoglema i Larsson, Belgję — Cassiers, niezrównany rysownik, słynny zwłaszcza jako plakacista. W najbogatszym dziale niemieckim spotykamy okazy rozmaitej bardzo wartości, od dzieł Schwinda, Führicha i Richtera począwszy. Na ogół mniej tu smaku i finezji, choć nie brak i wielu rzeczy wartościowych. Z szeregu obrazów ściennych, przeważnie niemieckich, wyróżniają się śliczne litografje wydawnictwa *„Künstlerischer Wandschmuck für Schule u. Haus* (R. Voigtländer, Lipsk), przedstawiające rozmaite tematy, wykonane przez pierwszorzędnych artystów (Conz, Fischer, Kampmann, Hoch, Kallmorgen) w wysoce artystyczny a dla dziecka zupełnie przystępny sposób. Pięknie by było, gdyby i u nas przystąpiono do podobnego wydawnictwa! Sił artystycznych nie brak, tylko dobrej woli i poparcia sfer, w pierwszym rzędzie do inicjatywy tutaj powołanych. *A. C.*

IGNACY DĄBROWSKI. (3)

OKRĘT ZADŻUMIONY. *(Dokończenie)*

A okręt stał i stał, wielki, groźny, imponujący, jak obrażony lew. Dziś rano znikł nam z oczu, płynąc w kierunku Pozzuoli.

I oto teraz wracał, znów odprawiony z niczem.

— Dokądże on płynie? — pytam się Giuseppe.

Włoch przysłonił dłonią oczy i długo się wpatrywał, chcąc wymiarkować kierunek.

— Do Castellamare — rzekł wreszcie.

— A czyż tam mogą go przyjąć?

Giuseppe uśmiecha się znacząco.

Bo czego to się nie da zrobić na świecie! Przecież i ten statek, który zawlókł dżumę do Neapolu, był podejrzanym i też odprawionym z kwitkiem od kilku portów, a jednak go przyjęli — i gdzie? w Neapolu! Kapitan portu dostanie teraz dymisję, ale co go to obchodzi! Już on tam nie wyszedł z próżnemi rękoma... A dla takiego małego portu, jak Castellamare, przybycie i wyładunek takiego olbrzyma jak *La Bella Elena*, toż to poprostu dar z nieba! Bo ilu to ludzi zarobi przy tem! i biedni, żyjący z dnia na dzień, robotnicy portowi i składnicy towarów i restauratorzy i fiakrzy, i właściciele hoteli, nawet urzędnicy na stacji kolei, i tym się coś dostanie. Castellamare może nigdy nie widziało takiego statku! Teraz będą darli nosa do góry, że nietylko makaronem i pomarańczami handlują.

Obecnie prezentuje się nam okręt w całej swej okazałości.

Właśnie przejeżdża nieopodal naszej łodzi, wyciągnięty całym bokiem. Czarny kadłub wygląda na morze długim podwójnym szeregiem

swoich okrągłych okien. Muszę dobrze podnieść głowę, żeby dosięgnąć wzrokiem pokładu. Czerwone, grube kominy wyrzucają co chwila całe kłęby rudego dymu. Na pokładzie mnóstwo pasażerów, to półleżących w długich płóciennych krzesłach, to stojących przy żelaznej balustradzie, otaczającej pokład! Oto już od dwóch tygodni błądzą ciągle po morzu, pędzeni od brzegu do brzegu, odpychani, wyklęci. I nawet nie mogą mieć wielkiej nadziei, że się ta niewola tak prędko skończy. Ach, prawda! Castellamare! — kto wie? może? Wielu z nich jednak zapewne z zazdrością spogląda na naszą małą łupinkę, która sobie buja, jak wolny ptak, a na noc wróci do gniazda.

Wielki kadłub mija nas powoli: nie śpieszno mu wcale tam, do tego Castellamare. Majestatycznie pruje wodę, roztrącając spokojnie bałwany i piętrzące się wały. Te, jakby gniewne, że musiały uledz, rzucają się wściekle na boki, ciskają się w okna, radeby ugryźć, chociaż ukąsić, jeżeli połknąć nie mogą. Ale *La Bella Elena* nie raczy nawet zwrócić na to uwagi. Zawsze dumna i pomimo wszystko królowa, wywołuje raczej poczucie grozy, aniżeli litości.

Nie, tego okrętu nie ośmielą się w Castellamare odprawić z niczem.

Zdaleka na horyzoncie gromadzą się ciemne chmury. Szczyt Wezuwiusza skrył się w zbitej masie dymów, które zdają się stać w miejscu. Zapowiada to wiatr „siroco", czyli coś nie bardzo dobrego.

I rzeczywiście pod wieczór zaczęło się coś dziać. Niebo zawlokło się chmurami, morze pociemniało i stało się złowrogie. Nadchodziła burza, ale szła powoli, majestatycznie. Z początku nie było nawet wiatru. Kiedy zapadła noc, zrobiło się tak ciemno, że wszedłszy po kolacji do swego pokoju, musiałem po omacku wyszukiwać okna.

Za oknem, wychodzącem na morze, nie widać było nic: wzrok gubił się w nieprzeniknionej czarności, napróżno siląc się wyłowić w niej jakiś kształt lub zarys. Tylko chwilami, w czasie krótkich błyskawic, to tu, to tam, na jedną część sekundy rozelśniała się gładka fala morza, zapalając się chłodnym, stalowym połyskiem. Takie straszne głębie, takie zimne topiele kryły się pod tą błyskającą stalą! Zdawało się, że to morze co chwila wyziera swojem szklistem okiem i patrzy jak trup.

W ciągu nocy burza przyszła i przeszła. Wicher jęczał, wył, skowyczał, szorując je o fale i rzucając je na siebie. Morze, chłostane bez miłosierdzia, zaczęło także wyć i ciskać się ze wściekłością.

Ogłuszający, nieustanny łoskot fal, obijających się o skały, obudził mnie rano. Dzień był pochmurny, zimny, wilgotny.

— *Mare e molto agitato* — mówi Giuseppe, który się przecież na tem zna, tłumacząc się, jako i kąpielowy zarazem, dlaczego o kąpieli nie może być nawet mowy.

Widzę to sam.

Morze jest szare i mętne i wygląda, jak pomięty, połamany papier. Nigdzie statku, żagla, łodzi. Jak okiem sięgnąć, wszędzie ruch i kołysanie: co chwila szerokie pagóry zapadają się pod siebie, przepaści dźwigają się w górę i wydymają w kopuły. Na czuby fal wyskakuje rudawa, brudna piana. W powietrzu wisi ciężka mgła, poszarpana, miejscami zbita, jak stara wata; bliżej rozwłóczy się kłębami i strzępami i przesłania fale, dalej miesza się z niemi i zlewa, aż wreszcie kryje je zupełnie.

I z za tej mgły nie wiadomo skąd i dlaczego, szerokimi wałami lecą spienione, jakby zdyszane bałwany. Pędzą ku brzegom. Nic im się nie oprze, nic nie zmoże. Biegnące im na spotkanie, odbite od skał, drobniejsze fale zaprzepaszczają się w nich tak nagle i bez śladu, jakby były połknięte. Czasem tylko bluzgający znagła wybryzg zbielałej od szamotania się wody, jak krew z otwartej rany, świadczy o walce, jaka nieustannie wre na tych głębinach.

A bałwan zwycięski toczy się, olbrzymieje i pędzi, pędzi...

Już jest tuż, tuż przy skale. Rozzuchwalony powodzeniem, z najeżoną grzywą piany gotuje się do ostatniego skoku. Jedno z nich zginąć musi. Oto już stanęli do siebie oko w oko. Skała stoi i czeka... Rozjuszony, podcięty, jak biczem, powrotną falą, wygina się, pręży, staje dęba i, zwinąwszy się nagle, jak kula, skosmaconym łbem bije w skałę, jak piorun.

Chwila zamętu, zgiełku...

Zbielałe bryzgi rozbluzgują się z impetem het wysoko i daleko, jak rozprysły mózg. Czyj? Nie skały. Ta stoi i znowu czeka... To wielkie cielsko bałwanie rozpadło się w strzępy, w kawały, jak ugodzony padalec. Marne jego resztki

umykają teraz chyżo z załamów skały i z pod jej stóp. Chrobotanie zsuwanych na dnie kamieni wydaje się ostatnim jękiem i zgrzytaniem zębów rozwścieklonej bezsilności.

Zaczyna padać deszcz, drobny, zimny, przenikający do kości. Te rozkołysane wody w dole... te rozwiane w powietrzu wody w górze... Wszystko jest jakieś rozmiękłe, oślizgłe... Już za wiele tej wody... Wzrok mi się błąka uparcie w dal, przed siebie, stęskniony za szmatem nieba, za promieniem choćby jednym słońca. Napróżno. Rozpacznie szara mgła przedstawia się, jak wielka nicość i kształtów i barw. Co tam jest w tej mgle? co poza nią? Czyżby tylko znowu mgła? i znowu mgła?

Świat wydaje się czasem, jak swoje własne widmo: tak jest teraz właśnie. Wiem, że jutro będzie słońce i będzie radość życia, ale co mi z tego? Mnie dziś jest źle, jest smutno, jest beznadziejnie...

— *Ecco la! Un vapore!*... słyszę zdumiony głos Giuseppe, wytężającego wzrok gdzieś wdal..

W zamglonej bezbarwnej przestrzeni majaczeje coś szarego, coś wielkiego i sunie szybko, jak złowróżbny cień.

Tak, poznaję: to *La Bella Elena* płynie od strony Castellamare poza zatoką, na pełne morze.

Zwinięte, poskręcane żagle obwisły bezwładnie, jak zmoczone pióra. Z pustego pokładu za każdem przechyleniem spływają całe strugi wody. O czarny kadłub biją wściekle bałwany i opluwają brudną pianą. Sunie szybko, ale jakby już ostatnim tchem, bo się chwieje i słania na boki, jak człowiek głodny i chory.

Szary welon dymu, szara mgła, szare niebo i ten szarzejący już okręt, zadżumiony, nie przyjęty, odprawiony z niczem... tam, z tego — Castellamare...

Z przeszłości żydów lwowskich.

Badanie historji żydowstwa polskiego, natrafia zwykle na wielkie trudności, z tego powodu, że niewielu tylko uczonych chrześcijańskich włada dostatecznie jezykiem hebrajskim i żargonem, niezbędnymi do bliższego poznania tej ciemnej, a zupełnie od otaczającego świata odosobnionej masy. Ztąd też pochodzi, że wszystkie prawie prace na tem polu są jednostronne, a specjalnie historja żydów we Lwowie, skreślona przez dra Caro, jest jak z jednej strony stekiem błędów i niedorzeczności w opisie stosunków żydowskich do świata chrześcijańskiego, tak znowu ze strony drugiej raczej pamfletem, niż poważną pracą naukową.

Jest jednak we Lwowie młody uczony p. *Meier Balaban,* zajmujący się specjalnie historją żydowstwa lwowskiego, który aczkolwiek niewiele dotychczas drukiem ogłosił, to jednak sumiennem badaniem odnośnych źródeł i bezstronnem traktowaniem rzeczy, pozwala żywić nadzieję, że historja żydów lwowskich doczeka się przecież wyczerpującego opracowania. Ostatnio wystąpił p. Balaban z szeregiem odczytów w tej kwestji, w lwowskiej „Toybenhali“, w których utwierdza jeszcze w wyrażonem poprzednio przekonaniu o swoich kwalifikacjach.

W opowiadaniu jego wychodzi stare żydowskie społeczeństwo na bruku Lwowa żywo i barwnie, tak jak ono było i żyło w dawnych wiekach między sobą i w stosunku do otaczającego świata. Jak wiadomo, tworzyli żydzi lwowscy dawniej dwie odrębne gminy: miejską, skupioną w ulicy Blacharskiej dzisiejszej i części ulicy Boimów, a oddzielonej bramą u zbiegu ulic Blacharskiej i Ruskiej, która to brama w czasie uroczystego nabożeństwa chrześcijan zawsze była zamykaną — i gminę przedmiejską, za bramą krakowską, która zostawała pod władzą wojewody, podczas gdy pierwsza cieszyła się zupełnym samorządem. Obie gminy posiadały własne sądownictwo, które odbywało się w bożnicy, latem na podwórzu, a zimą w pokoju, a to w ten sposób, że kolle-

gium sądowe co poniedziałek zbierało się w synagodze przy ulicy Blacharskiej, a w czwartki w synagodze przedmiejskiej, przy ulicy Cybulnej. W sprawach między żydami sądził sam rabin bez żadnej apelacji, w sprawach zaś mieszanych, gdzie stroną sporną był żyd i chrześcijanin, osobne kollegium złożone z 4 żydów, na czele którego stał podwojewodzy i syndyk żydowski, szlachcic, wybierany przez samychże żydów. Koło sądu tego, kręciła się również ciekawa figura — szkolnik (szames), któremu poświęcił prelegent obszerne uwagi. Szames ten partycypował w dochodach sądowych, notował wszystkie sprawy w tabuli sądowej, przykładał do aktów pieczęcie, a w chwilach wolnych zamiatał podłogę, lub biegał z drewnianym młotkiem i pukał w drzwi domów żydowskich, zwołując na nabożeństwo.

Omawiał następnie prelegent różne sprawy, przychodzące pod orzecznictwo tego sądu żydowskiego, ilustrując je całym szeregiem faktów z życia. Żydzi pożyczali na fanty, brali dowolne procenty, handlowali wszystkiem, co się dało, a nawet niektórzy dzierżawili dobra ziemskie wbrew wyraźnym konstytucjom sejmowym. Mimo bramy w ulicy ruskiej stosunki żydów z chrześcijanami były bardzo ożywione, a nie znać na nich wcale tego wyodrębnienia i zakamieniałej kastowości, która jest dziełem późniejszej nietolerancji. Nawet urzędowe akta tytułują żydów początkowo przymiotnikiem „*providus*“ albo „*laboriosus*“ a dopiero później wyrabia się pogardliwe miano „*infidelis*“. W życiu zaś codziennem nie odmawiano nigdy żydom, zwłaszcza bogatszym i znaczniejszym, przydomka „pan“. *Fr. Jaw.*

Prastare szkielety.

Przed paru tygodniami podał prof. dr. Benedykt Dybowski wiadomość o szkielecie tak zwanego „wielkoluda“ obecnie zaś dalsze jego badania zawartości pak z wykopaliskami dokonanymi koło Nowosiółek wykazały dwa szkielety, męski i kobiecy, niższego wzrostu o typie długogłowym. Zastanawiając się do jakiej rasy, a mianowicie słowiańskiej, czy germańskiej należą wykopane szkielety, przychodzi dr. Dybowski do następujących rezultatów:

Plemiona, mieszkające dzisiaj w okolicach, gdzie się znajdują grobowiska podobne do tych, które odkopano w Nowosiółkach, noszą na sobie inne cechy, niż te, któremi się odznaczają szkielety kopalne z okresu dawniejszego, ale nawet szkielety pochodzenia późniejszego wykazują, że ludzie z niedalekiej zresztą przeszłości mieli pomiędzy sobą daleko więcej osobników z tendencją ku długogłowości, niż pokolenia obecnie żyjące, które są przeważnie krótkogłowe.

Z drugiej strony spotykamy w środkowej i wschodniej Europie dwa rodzaje grobowisk, a mianowicie ciałopalne i ciałogrzebne. Czy te społeczeństwa, które grzebały i paliły ciała swoich zmarłych były rasowo różne, nie wiadomo, później jednak, gdy oba zamieszkały wspólne terytorja znaleziono w grobowiskach obok szkieletów długogłowych także krótkogłowe; gdzieniegdzie znaleziono groby, gdzie obok szkieletów męskich długogłowych były szkielety kobiece, krótkogłowe, co pozwala na przypuszczenie, że mężczyźni wzrostu wysokiego i długogłowi brali sobie za żony kobiety niskiego wzrostu, krótkogłowe, czyli że pierwsi byli przychodniami z zewnątrz, drugie zaś mieszkankami miejscowemi.

W późniejszych czasach spotykają się grobowiska ze szkieletami typu mieszanego. Fakty te dają powód do dwojakiego ich tłumaczenia. Twierdzą mianowicie niektórzy uczeni, że typ długogłowy, dawniejszy, wskutek kulturalnych i klimatycznych warunków zmienił się powoli w obecny, krótkogłowy, drudzy natomiast udowadniają, że pierwotnie istnieć musiały dwa terytorja: ciemnowłosych ludzi, krótkogłowych na południu, długogłowych, jasnowłosych na północy i że wskutek mieszania się powolnego powstały plemiona o typie mieszanym, a pomieszanie cech

jest tem znaczniejsze, im bardziej zbliżamy się ku północy, a po części i ku wschodowi. Innemi słowami się wyrażając, znaczy to, że Germani długogłowi stanowią zupełnie różną rasę od Słowian, którzy są przeważnie krótkogłowymi. Typ bowiem słowiański jest zupełnie różny od germańskiego, gdyż najbardziej typowi Słowianie są krótkogłowi, ciemnowłosi. Do takich typowych Słowian należą Podhalanie, mieszkańcy Rusi czerwonej, mniej typowymi są Wielkorosjanie, Białorusini, wogóle te plemiona, u których średniogłowość i jasne barwy oczu są częstsze.

Ale na całym obszarze globu naszego nie ma ras czystych, wszystkie są mieszane. O tem, które plemię należy do rasy czystszej, mowy być dzisiaj nie może, trzeba się więc pozbyć szowinizmu rasowego i raz przyjść do przekonania, że wszyscyśmy bracia.

Nie mamy znowu żadnej racji ubiegać się o zaszczyt należenia po przodkach naszych do rasy germańskiej, długogłowej, jasnowłosej, o wzroście wysokim. Rasa ta spełniła swoje zadanie, wsiąkła i utonęła w rasie krótkogłowej, a maluczko i zupełnie zginie z oblicza ziemi. — Wielkoludy ciężkie, żyjące z pracy rąk innych, muszą ustąpić miejsca średniorosłym, najlepiej przystosowanym do życia samodzielnego, nie pasożytnego.

Wykopaliska obecne zaliczyć należy jako należące do rasy mieszanej, z przewagą do typu długogłowego. Ciekawe są one z tego względu, że wykazują, iż postępując z północy do południa, czystość rasy długogłowej zmniejszała się statecznie.

Z PIŚMIENNICTWA I SZTUKI

KSIĄŻKI. *Emil Zola* (Charakterystyka twórczości) przez Wł. Jabłonowskiego. Warszawa 1903. Księgarnia G. Sennewalda. Z literatury nekrologowej, którą wywołał nagły skon Emila Zoli, jest, ta niewielka zresztą rozmiarami książeczka, jedyną może zdobyczą polskiego piśmiennictwa wogóle, i zostanie w niem dłużej, niż jednodniowe efemerydy. — Wiadomo, że p. Władysław Jabłonowski należy dziś do wybitnych krytyków literatury, jest krytykiem takim, który się odznacza i bystrością sądów, ich objektywizmem i wysokiem poczuciem artystycznem.

Otóż wszystkie te cechy jego talentu zawiera i charakterystyka twórczości Emila Zoli, napisana zapewne dla użytku dziennikarskiego, zaraz pod świeżem wrażeniem wypadku, a obecnie w formy książki przybrana. — Składa się ona z dwu części, z których pierwsza poświęcona jest rozpatrzeniu tych prądów naukowych i społecznych, które na twórczość Zoli wpływ decydujący wywarły, część zaś druga ocenie naturalizmu Zoli, w którym to naturalizmie dopatruje autor wiele pierwiastków idealnych.

NOTATKI. *Konkursa artystyczne i literackie.* Właściciel majątku Raszków ogłosił konkurs na projekt dworu wiejskiego. Prace konkursowe winny być nadesłane do redakcji „Przeglądu Technicznego" w Warszawie, przed dniem 28. marca b. r. Nagród wyznaczono dwie: 300 i 200 rb., oprócz tego właściciel majątku zastrzega sobie prawo nabywania projektów nienagrodzonych po 100 rb.

Towarzystwo „Polska sztuka stosowana" w Krakowie ogłasza konkurs na projekt malowania ścian i sufitu jakiegokolwiek pokoju. Projekt powinien mieć charakter polski. Nagroda za najlepszą pracę wynosi 200 K. Termin nadsyłania prac pod adresem Towarzystwa (Kraków, Wolska l. 14), upływa d. 25. marca.

Termin konkursu im. S. Lindego upływa z d. 31. grudnia 1903 r. Do konkursu tego dopuszczone są prace z zakresu języka polskiego, a mianowicie: prace leksykograficzne, oraz rozprawy, odnoszące się do związku języka polskiego z innymi słowiańskimi językami. Prace te mogą być według aktu fundacji drukowane, lub też w rękopisie nadesłane do Akademii umiejęt. Powinny odznaczać się metodą ściśle naukową i każda ma stanowić skończoną całość.

Z Drukarni Udziałowej we Lwowie, ul. Lindego l. 8.